

Krośnieńska Biblioteka
Publiczna

*Krośnieńskie
zeszyty
biblioteczne*

Nr specjalny Krosno 2011



Krośnieński Konkurs Literacki
XII edycja

*Pisanie jest zawsze wyrazem jakiejś nadziei. Nie sięgali-
byśmy po pióro czy klawiaturę, gdyby nie było w nas wiary, że słowo
służy nazywaniu i porozumieniu. Jesteśmy pracownikami słowa, a to
znaczy, że jesteśmy także nosicielami nadziei, która wiąże się ze
słowem.*

*W utworach, które w tym roku nadesłano na konkurs, au-
torki i autorzy poruszają szereg trudnych – niekiedy bardzo trudnych
– spraw. Opowiadają o ludzkich tragediach, o niezaspokojonym
pragnieniu bliskości i miłości, o poczuciu bezsensu, o utracie kontro-
li nad życiem. Niejednokrotnie w trakcie lektury miałem wrażenie,
jakbym znalazł się w mrocznym korytarzu bez wyjścia. Na szczęście
czasem ktoś pokazywał również jaśniejszą stronę życia. „Czy tak
wygląda świat ludzi młodych?”, pytałem sam siebie. Widocznie tak
właśnie wygląda, czy raczej – tak właśnie jest przeżywany. Niektórzy
uciekają z niego w baśń, inni w metaforę... Nie zmienia to faktu, że
sam akt pisania, nazywania tego, co trudne, jest aktem nadziei.*

*Konkursy, oczywiście, służyć mają ożywieniu tej nadziei,
która wiąże się z pisaniem. Niestety, mogą także tę nadzieję podci-
nać. Poziom tegorocznego konkursu, zwłaszcza w części prozator-
skiej, był wysoki, trudno było podjąć decyzję, kogo nagrodzić i kogo
wyróżnić. Dlatego chcę bardzo mocno podkreślić: końcowy werdykt
nie oznacza, że ci, których nie nagrodzono lub nie wyróżniono, nie
mają prawa do nadziei. Prace, które wpłynęły na konkurs, dowodzą,
że ich autorki i autorzy traktują pisanie bardzo poważnie. W świecie,
w którym coraz trudniej o poważne traktowanie czegośkolwiek, ze-
tknięcie się z taką powagą robi ogromne wrażenie. Życzę wszystkim,
żeby nie opuszczała ich powaga pisania – i związana z nią nadzieja.*

Wojciech Bonowicz

LAUREACI
XII EDYCJI KROŚNIĘSKIEGO KONKURSU LITERACKIEGO

Kategoria: Proza

Judyta Pyrak	I nagroda
Sylwia Marszałek	II nagroda
Hana Matejek-Khouri	III nagroda
Michalina Broda	Wyróżnienie
Natalia Janik	Wyróżnienie
Adrianna Matyniak	Wyróżnienie
Kamil Piotr Piastowicz	Wyróżnienie

Kategoria: Poezja

Klaudia Białogłowicz	I nagroda
Konrad Kustroń	II nagroda
Jakub Ziółkowski	II nagroda
Daria Bełch	III nagroda
Natalia Janik	Wyróżnienie
Marzena Liput	Wyróżnienie
Paulina Nowacka	Wyróżnienie
Katarzyna Stapurewicz	Wyróżnienie
Mateusz Urban	Wyróżnienie
Szymon Barabasz	Nagroda ZO Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Krośnie
Bartłomiej Potocki	Nagroda Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Krośnieńskiej

Nagrody Starosty Powiatu Krośnieńskiego

Natalia Janik

Adrianna Matyniak

Bartłomiej Potocki

I nagroda w kategorii: Proza

Judyta Pyrak

*Liceum Ogólnokształcące im. Komisji Edukacji Narodowej
Stalowa Wola*

Bardzo dziwny list motywacyjny

Miejscowość, data

Imię Nazwisko

Ulica

Miejscowość

Świat

Twoja oferta pracy na stanowisku pisarza niezmiernie mnie zaciekała.

Myślę, że mógłbym swoją twórczością przysporzyć Ci wiele dobrego, a poprzez wniesienie czegoś nowego – dopełnić Twojej różnorodności. Chciałbym powiedzieć Ci, że doskonale znam Ciebie i rządzące Tobą mechanizmy, po to, by utwierdzić Cię w przekonaniu, iż to ja jestem odpowiednim kandydatem. Jednak byłoby to nieprawdą, ponieważ ciągle poznaję Cię z innej strony. Czasem jest to cudowne, radosne odkrycie, a czasem bolesne doświadczenie. Niezależnie jednak od tego, z której strony dajesz mi się właśnie poznać, nadal stanowisz inspirację.

Pragnę nadmienić Ci o moich osiągnięciach. Każdego dnia pokonuję samego siebie, zwyciężam walkę o kolejny oddech... więc z całą skromnością przyznaję, że jest ich wiele, wymienię jednak te najbardziej znaczące w obecnej sytuacji, kiedy to ubiegam się o wymarzone stanowisko. Moja przygoda ze słowem zaczęła się od jakże pięknego słowa „mama”. Od tego momentu zasób mojego słownictwa nieustannie się rozszerza. Przełomowe osiągnięcie(chociaż wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy) nastąpiło w wieku lat 7, kiedy kreśliłem niepewnie pierwsze litery, z których potem powstawały wyrazy, a z nich – całe zdania! Kiedy język mówiony stał się pisany, otworzył się przede mną zupełnie nowy, fascynujący świat. Równocześnie rozwijała się umiejętność czytania, która umożliwiła mi skonfrontowanie z innymi poglądów. Dzięki temu powoli zaczęło wzrastać we mnie pragnienie podzielenia się z Tobą moimi myślami. Niektórymi dlatego, że już dłużej nie można ich w sobie dusić, a niektórymi dlatego, że wydają się być tak ważne, że nie powinno się (a nawet nie wolno) zatrzymać ich tylko dla siebie. Ale żeby umiejętnie przelać na papier ważne myśli, trzeba ćwiczyć. Począt-

kowo moja twórczość była dość uboga, ograniczała się do wpisów w laurki robione własnoręcznie z okazji Dnia Babci (lub z okazji jakiegoś innego, równie ważnego dnia), krótkie wiadomości zostawiane dla domowników na stoliku w salonie („Mamo, jestem na podwórku”), listy zakupów (może i mało twórcze, ale potrzebne) oraz napisy kredą na chodniku, często pięknie ilustrowane (jak np. „ALA MA KOTA” i jakby na potwierdzenie, obok kolorowy, koślawy kot i uśmiechnięta dziewczynka, która zapewne jest Alą). Czasem takie dzieło pozostawało na swoim miejscu przez wiele dni jeśli nie zmył go deszcz i mogliśmy jeszcze długo mijać je z dumą. Z czasem zaczęły powstawać dzieła nieco trwalsze. Wypracowania szkolne, w szkludnym zeszytce w linijkę, które miały w przyczółku nabierać formy coraz bardziej wyrafinowanej (i wydłużonej). Nie obyło się również bez spontanicznej twórczości, pozostawiane często na szkolnych ławkach, wyników pierwszych frustracji i rozczarowań (Ala już nie ma kota, „Ala jest głupia”). I tak się zaczęło. Tak, bo to był dopiero początek. Powoli zaczynałem zdawać sobie sprawę z tego, że moje możliwości są niczym nieograniczone, muszę tylko nigdy nie ustawać, tylko szukać i próbować, a potem jeszcze raz próbować i nigdy się nie zrażać. To droga po omacku i zawsze mam tego pełną świadomość.

Myślę, że mnie potrzebujesz, a raczej mam taką nadzieję. Bo czym wyróżniam się spośród wszystkich? Nie wiem. Może niczym, albo wręcz przeciwnie – wszystkim. Jestem tak samo zagubiony jak inni i tak samo nie mam pojęcia, dokąd zmierzasz. Ale jestem, i przede wszystkim CHCĘ, być częścią Ciebie. Wiem, że nie mogę zaferować niczego, co byłoby dla Ciebie niespodzianką, bo już wszystko widziałeś. Jednakże wyjątkowość każdego pisarza, ba, nawet każdego człowieka nie polega na tym, że dostrzegł w Tobie coś nowego, tylko na tym, że patrzy na wszystko inaczej i przeżywa to tak, jakby rzeczywistość było najświeższym odkryciem. Potrafię tylko patrzeć z naiwnością dziecka. Do tego mam dwie ręce, z czego w prawej potrafię utrzymać długopis zostawiający czarny, atramentowy ślad na śnieżno (lub mniej) białej kartce. Gdybyś wiedział jak bardzo jestem szczęśliwy mogąc ubrać myśli w słowa i podzielić się z drugim człowiekiem!

Wyszedłem Ci na spotkanie i czekam. Teraz Twoja kolej! Odpowiedz mi na pytanie... czy jestem Ci potrzebny? (Załączyłem numer telefonu i adres e-mail. Czekam na kontakt.)

Dobro wiecznie wygrywa, ale zło zawsze wraca

*„Pamiętajcie o tym, że jeśli diabeł chce kogoś kopnąć,
nie uczyni tego nigdy swym końskim kopytem, lecz swą ludzką nogą.”*

– Stanisław Jerzy Lec

Alister Bloom nigdy nie przepadał za Rosją. Kraj zimny, ludność spita, kobiety ograniczone, lecz to mu bynajmniej nie przeszkadzało. Jedyńm problemem, który doprowadzał Alistera do szewskiej pasji, były wszechobecne układy. Nieszczęśliwym trafem, Bloom w jeden z tych układów został – jak to sam często określał – wkopany. Kilka niepamiętnych lat temu w rodzimej Anglii, Alistera nieco poniosło z jego dosyć, hm, egzotycznymi zwyczajami. Wpadł w spore tarapaty, co tu ukrywać sytuacja była dalece nieciekawa. Zapewne skończyłby w uroczym, pasiastym uniformie w zatęchłej norze, gdyby nie pomoc pewnego człowieka o imieniu Iwan Aleksandrowicz Wołkow.

Iwan Aleksandrowicz był człowiekiem, którego aparycję Alister określiłby mianem wzbudzającej szacunek lub po prostu wrednej. Ostre, rosyjskie rysy twarzy, wąskie usta, stalowe oczy i fryzura dekadenccko zaczesana na bok czyniły tego dosyć młodego, trzydziestoletniego mężczyznę ideałem sowieckiego komunisty. Gdyby jednak nie Wołkow, Alister Bloom właśnie teraz łamałby swoje zęby na metalowych kratach oddzielających go od zamglonej wolności. Alister wiedział, że gdy w twoje życie swoje łapska miesza Rosjanin, to możesz być pewien, iż będziesz miał możliwość odplacić mu się podwójnie. I przyszedł czas zapłaty.

Alister Bloom musiał przybyć na spotkanie z Iwanem Aleksandrowiczem Wołkowem z przyjaznego, rozpustnego i ateistycznego Londynu do nieprzewidywalnej niczym Wołkow Moskwy. Hotel, w którym się zatrzymał był przyjemny: w oknach wisały nylonowe firanki, idealne do podglądania sąsiadów, a zasłony przypominały halkę tancerek kankana i koronkowe pończoszki. Inne myśli, przebiegające przez głowę Alistera, są zdecydowanie nie do druku.

Przed spotkaniem ze swoim wierzycielem pocieszał się, że najgorsze piekło to takie, które zgotujesz sobie sam. Z tego powodu, by udobruchać nieco tego lwa, zabrał ze sobą stary dobry atrybut Rosjanina, jakim jest wódka. W biurze znajdującym się w centrum stolicy przywitała go urodziwa, rudowłosa sekretarka.

– Pan Wołkow już na pana czeka, panie Bloom – powiedziała po angielsku jednak z silnym wschodnim akcentem piękność, wskazując dłonią drzwi.

Natasza Antonowa, bo tak było owej damie na imię, starała się nie utrzymywać zbyt długiego kontaktu wzrokowego z ciemnowłosym cudzoziemcem. Oprócz uśmiechu kryminalisty w głębokich oczodołach Blooma połyskiwało szaleńczo dwoje zielonych oczu, co nie spodobało się Nataszy. Uśmiechnęła się marnie acz uprzejmie, po czym rzuciła się w wir nieistniejącej pracy – terminy, terminy, terminy!

Alister Bloom zamknąwszy za sobą drzwi położył butelkę z trunkiem na biurku, po czym usiadł, skrętnie ukrywając drżące kolana. Dostojnie siedzący za kilkoma stertami papierów Wołkow wyglądał niczym posąg, co podkreślała błażość jego skóry, na którą leniwie, wydawać by się mogło z przestrachem, padało światło. Iwan Aleksandrowicz szybkim ruchem wyciągnął z szuflady zszyty plik papierów i przysunął pod nos Blooma nie odrywając wzroku od dokumentu, który właśnie wypełniał.

– Co to jest...? – zapytał ze ściągniętymi brwiami Alistera.

– Twoja nowa ofiara.

Twarz Wołkowa nawet nie drgnęła. Alister odchylił pierwszą, czystą kartkę. Igor Nikołajewicz Koroliow. Dwadzieścia trzy lata. Metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu. Osiemdziesiąt pięć kilo. Podejrzany uśmiech odpłynął niczym niezamówiona łódź z twarzy Alistera. Potarł niespokojnie prawą dłonią złotawy medalion na szyi. Można zarzucić mu było wiele, w tym umiłowanie do zakazanych praktyk, ale zabójcą nie był. Miało się to jednak w najbliższym czasie zmienić.

– Czym więc mam go zabić? – przerwał prawie namacalną ciszę panującą w pomieszczeniu Anglik, starając się przygotować do swej nowej roli. Wołkow ani drgnął. Podniósł jedynie swoje bezlitosne oczy na Alistera.

– Chociażby śmiechem, jeśli trzeba będzie – odpowiedział jak zawsze ładnym jednak wywołującym ciarki głosem Iwan Aleksandrowicz Wołkow. Po chwili znów powrócił do swojej prostej acz tajemniczej roboty nie pozostawiając Bloomowi żadnych złudzeń – więcej od niego nie usłyszy. Alister wpatrywał się przez moment w kartki, których biały kolor nie zwiastował tego, co wewnątrz bezlitośnie zdradzały ciemne litery. Aluzja to popularny i zarazem najżałośniejszy przejaw strachu, jaki zna język ludzki – tu jednak o aluzji nie mogło być mowy. Wszystko było czarno na białym, żadnych niedomówień. Bezpośredniość Iwana Aleksandrowicza uderzała Alistera w twarz tak jak zimny podmuch wiatru, który powitał go gdy dotarł na lotnisko w Moskwie. Nie marnując czasu w tym jakże doborowym towarzystwie, Bloom wstał zabierając ze sobą plik kartek. Jego dłoń zdążyła

jedynie zatańczyć na miedzianej kłamce, gdy rozległ się nieuznający sprzeciwu głos Wołkowa.

–To będzie ci potrzebne.

Alister odwrócił się, a jego ciało zdrętwiało, przez skórę przebiegł elektryczny dreszcz. Nie dalej niż na wyciągnięcie ręki ujrzał parę stalowych oczu oraz groźny uśmiech Iwana Aleksandrowicza. „Jakim do cholery cudem on się tam znalazł?” Tego Alister nie był w stanie powiedzieć, nie było też żadnego racjonalnego wytłumaczenia, które mógłby znaleźć w ciągu tych kilku sekund bezdechu. Zdecydowanie wyższy od niego Rosjanin w uniesionej dłoni trzymał mały, lśniący rewolwer.

– Mam nadzieję, że strzelasz lepiej niż opowiadasz żarty, bo komik z ciebie mamy.

Spokojny głos dudnił w głowie Blooma. Cała ta sytuacja, w ogóle cała znajomość z Iwanem Aleksandrowiczem była popaprana, bo dziwna to słowo wybitnie nieadekwatne. Zanim zdążył cokolwiek z siebie wydusić ujrzał grymas na warzy Wołkowa, który przechadzał się w stronę okna dostojnie gestykując.

– W dzisiejszych czasach zupełnie nikt nie jest w stanie docenić profesjonalizmu i poświęcenia.

Alister Bloom zacisnął dłoń, w której trzymał chwilę wcześniej błyszczący w powietrzu rewolwer, ale jak on się tam znalazł, nie miał zielonego pojęcia. Wiedział jedno: im wcześniej stąd wyjdzie, tym lepiej. Zebrał w sobie resztki odwagi by udobruchać Iwana Aleksandrowicza jakąś lakoniczną odpowiedzią i czym prędzej opuścić ten chory gabinet.

– Tak, prawda...

Nim jednak zdołał wydusić swoje exodus i wymknąć się za drzwi, pokój wypełnił przyjemny głos biznesmena.

– Podobno ten Igor Nikołajewicz to niezły wariat. A wiesz, co mówią o takich, mój drogi Alisterze?

Bloom zmarszczył brwi. Pewien był, że nie jest istotne czy odpowie na to pytanie, czy nie, bo odpowiedź i tak padnie.

–Że aby ich zabić, musisz strzelić prosto w głowę między oczy.

Drażniąca cisza, która najwidoczniej ukochała sobie biuro Iwana Aleksandrowicza rozrywana była przez niski śmiech, który Bloom bez wahania, gdyby nie był w tym momencie wstrząśnięty, nazwałby mianem śmiechu kompletnego szaleńca. Iwan Aleksandrowicz ostentacyjnie otarł niesfornie łyzy, które zawitały w kącikach jego morderczych oczu z nadmiaru rozbawienia. Odwrócił swoją twarz w stronę Anglika.

– Ach Alisterze, nie myślałeś czasem o profesji aktora? Z twoją twarzą byłbyś idealny! Nie chciałbyś zagrać takiego normalnego, fajnego nazisty?

W miejsce strachu Blooma wypełniła determinacja, by jak najszybciej pozbyć się towarzystwa Rosjanina. Jedyne, co mogło go teraz uratować to spokój.

– To szalenie zaskakująca propozycja, panie Wołkow – starając się jak najtrafniej dobrać słowa Alister pokusił się nawet o uśmiech złoczyńcy. – Myślę jednak, że zajmę się moją rolą pozbycia się pewnego marnego aktorzyzny. Tymczasem, pozwoli pan...

Kciukiem wskazał w stronę drzwi i po chwili rozległ się wyzwalający dźwięk otwieranych drzwi.

– Do swidania, Alisterze!

Na te słowa Bloom wesoło zasalutował ręką, gdyż tym razem nie był w stanie odpowiedzieć. Cena jego poprzednich słów była zbyt wysoka. Ograniczając swój kontakt z otoczeniem, skłonił tylko głową w stronę Nataszy i niczym cień, powoli osuwał się po schodach. Dwoma palcami strzepnął pot z czoła. Gdy usłyszał melodię tłuczonego szkła dochodzącą z góry stanął w miejscu. Spojrzał niespokojnie na swoje dłonie, które od zaciskania pokryła ciemna krew. Szybko wytarł je chusteczką, przecierając zabrudzony rewolwer. Zaklął w duchu, gdyż właśnie zawarł umowę z diabłem.

Maris Altum

Opowiem ci krótką historię. Krótką, ponieważ dotyczy ona tylko jednego dnia. W dodatku tego, którego nie miałeś jeszcze okazji przeżyć. Ale nie bój się, doczekasz go spokojnie. Może zdarzyć się też tak, że w ostatecznych dniach nie będziesz mógł go sobie przypomnieć, wtedy oznaczać to będzie, że wszystko to, o czym zaraz będzie mowa – wyśniłeś, tworząc zapewne inne zakończenie, dając postaciom inne imiona, albo nie nazywając ich wcale. Bardzo prawdopodobne, że umieścisz zdarzenia w innym okresie na osi czasu, albo – podobnie, jak teraz, nie będzie on możliwy do zaznaczenia.

Historia, którą ci opowiem, mogłaby dziać się za twoimi plecami i być może się dzieje, ale ty, nie obrażając twojej dumnej osoby, jesteś zbyt zaabsorbowany tym, co zjesz dziś na obiad. No i przyznajmy się szczerze... Moich słów też nie czytasz uważnie. Ale to nie jest istotne, ani dla mnie, ani dla ciebie. Liczy się to, że po tych literach, jak oszalałe biegają twoje źrenice i to one wylapują to, co z tej historii zaistnieje w twoim życiu. Ten kanon rozgrywa się od dnia poprzedzającego Wielki Wybuch i toczyć się będzie do dnia, który Wielki Wybuch pochłonie. Stanie się to tak szybko, jakbyś jednym ruchem zgasił tłącą się zapałkę. Początek zawsze jest ten sam, mój najdroższy. A może powinienem ująć to inaczej... Początek nigdy się nie skończył?

Noszę imię Maris Altum. Przynajmniej taki dźwięk chciałbym, abyś zapamiętał. Dla jasności – mam stalowe, zimne oczy przykryte przez czarne i gęste rzęsy. Moje włosy są długie, okrywające całą moją postać, są mocno niebieskie, przyprószone jakby śniegiem, który nigdy nie topnieje. Stoję za tobą i opieram brodę o twoje ramię. Nie jest mi wygodnie, ale lubię chuchać zimnym powietrzem na twoją szyję. Twój zapach również mi nie odpowiada, ale z tym już powoli się oswiam. Teraz przejdźmy do sedna. Wszędzie widzę tylko ciebie. Bawiłem się tobą, gdy byłem jeszcze małą kreaturą... wtedy nie miałem jeszcze ogona (teraz oczywiście, jak najbardziej go posiadam, jestem dumny z jego długości i z miękkiego futra, a także z tego, że podkładałam ci go pod nogi i pieszczotliwie podduszam cię przez sen.) Ty, w moim dzieciństwie byłeś z porcelany. Mieściłeś się w mojej dłoni, a twoje ręce zawieszono na dwóch sznurkach, albo przyjemnie grzechotały, albo opierały się na moich palcach. Potrafiłeś tylko mrugać, otwierać wąskie, czerwone, porcelanowe wargi i wyciągać do mnie ręce. Dostałem cię od ojca, ale skąd on cię wziął, nie

mam pojęcia. Pewnie kupił na straganie. Umilałeś mi całe dnie, a nawet noce, bo nie byłem w stanie bez ciebie zasnąć. Jednak pewnego dnia naciągnąłem na twoje porcelanowe ciało skórę, abyś nie zmarł i zabrałem cię ze sobą do lasu. Skóra była podobna w dotyku do tej, która obecnie na sobie nosisz, ale – mój najdroższy skarbie – poznałbym cię, nawet, gdyby należała do niedźwiedzia. Bez względu na to, jak bardzo będziesz zmierzał ku metamorfozie, to będzie bezskuteczne. Przede mną nie uciekniesz.

To pierwotne ubranie zapewne sam dla ciebie uszyłem, tego jednak dokładnie nie pamiętam. Wiem za to, że gdy weszliśmy w dziki świat, ty otworzyłeś aż szerzej oczy i zamrugałeś kilkakrotnie. Ścisnąłem cię mocniej i przytuliłem do policzka. „Patrz, patrz” mówiłem do ciebie. Teraz jednak jestem pewny, że gdyby nie moja ogromna chęć uczynienia z ciebie istoty myślącej, byłbyś dalej potakującą, porcelanową lalką.

Pstryk.

Nic nie jest takie, jakim się wydaje. Ty patrzysz w lustro i widzisz idealnie dopasowaną maskę ze śladami użytkowania tu i tam. Jesteś z niej zadowolony, wrosłeś w nią, zamieszkałeś w niej i jak kot przyzwyczaiłeś się do miejsca. Ale oto ja podchodzę do ciebie, musze się schylić, bo jestem trzy razy wyższy i nie daję rady spojrzeć przed siebie na twoim poziomie. Owijam się wokół ciebie ogonem i czar pryska. Widzisz już, jak to do ciebie nie pasuje, że faktycznie cię zniekształca. Że to ja jestem tym kształtem, do którego masz dążyć!

Pstryk. Iskierka zgasła.

Staliśmy w lesie. Och, mój mały, każdy był tobą zafascynowany. Nie było w tobie ani krztyny wolnej woli, ani krztyny chęci tworzenia czegokolwiek. Twój mózg był nietknięty przez procesy myślenia – a budziłeś podziw! Należałeś do mnie. Byłeś w moim władaniu duszą i umysłem. Pełen ograniczeń (co, jak szybko zauważyłem, do teraz ci nie przeszło...)

Jako pierwsze podeszły do nas dwie siostry zrosnięte jedynie czubkami palców od dłoni. Zatoczyły wokół ciebie kółko i rozpostarły nad tobą swoją pajęczynę. Bardzo się oburzyłeś, za co później zostałeś ukarany. Złączyły dłonie, ale ty się nie pokruszyłeś, bo miałeś skórę. Następnie podpełzła poczwarka z głową pięknego chłopca. Zapatrzyłeś się w jego oczy, prawie tak zimne, jak moje i nawet nie dostrzegłeś, gdy zaczął owijać wokół ciebie krzywo zrosnięte odnóża. A ty się nie pokruszyłeś. Ta powłoka, którą ci ofiarowałem... nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile razy ci pomogła. Więc teraz, kiedy już wiesz, czyj jesteś, skąd jesteś i w jakim celu istniejesz, nie powinieneś do mnie wrócić? Nie, mój słodki. W każdym razie nie powinieneś tego robić tak szybko. Chodź za mną, to ci coś przedstawię. No już, już szybko... Chodź... wezmę cię na rękę. I znowu jesteś tylko mój, ścisgam za mocno? To dobrze, musisz być pewny, że teraz już o tobie nie zapomnę. Ułóż wygodnie głowę, opuść swoje cienkie rękę, nie miał-

bym nic przeciwko, gdyby zaczęły grzechotać jak przedtem. Och... mój mały, już to słyszę. Zejdziemy jeszcze niżej, miałbyś coś przeciwko powtórnemu wejściu w tamten las? Jest teraz trochę inny.

Prawdę mówiąc, wszystko się zmieniło, odkąd odszedłeś. Tamte gałęzie są teraz grubsze, drzewa jeszcze większe, a ich korony splecione, jak moje palce, kształtujące nad Tobą coś na wzór pomiętej aureoli. Tamte trawy zarosły już prawie całe wejście, ale myślę, że twoja skóra, tak jak przedtem, przetrwa każde zadrapanie. A jeśli tak się nie stanie, to po prostu ją z ciebie zedrę i staniesz przede mną dokładnie taki, jaki miałeś być. Kruchy i zimny w dotyku.

Zanim jednak razem zejdziemy do mojego domu, opowiem ci ten jeden dzień lub sen, o którym zapomnisz. Bo pamiętasz, że właśnie o to mnie prosiłeś, którejś nocy? Ja nie chciałem się wtedy zgodzić, ale wydaje mi się, że teraz nadszedł chyba odpowiedni czas.

Pstryk.

Otworzysz oczy i zachłyśniesz się powietrzem, gdy zobaczysz, że wisisz głową w dół. Będiesz myślał, że jesteś skrępowany, ale tak nie będzie. Zaczyniesz krzyczeć, ale z twoich ust wyleje się brudna woda, podobna do twoich słów. Poczujesz, jak oczy zachodzą ci mgłą. I wtedy będziesz myślał tylko o mnie. Gdy spojrzysz na ziemię, zobaczysz, jak wszystko to, co stworzyłeś moimi rękoma i podpisałeś swoim nazwiskiem, płonie i zapada się w ruinę. Zobaczysz, jak ogromna ściana myśli wali się na dziecko, które łudzaco przypomina ciębie z tego okresu. Nikt mu nie pomoże, bo nie zrobiłeś tego ty, gdy miałeś ku temu okazję. Nie wydaje ci się to w tym momencie nierealne? Ale, mój mały, sam przecież miałeś tyle nierealnych lat i snów, przypominających rzeczywistość, do tego stopnia, że po przebudzeniu traciłeś zmysły. Nagle twoje ręce i nogi odzyskają czucie, wygniesz się w łuk i krzykniesz zdzierając przy tym całe swoje gardło. Niemożliwe do zapisania wyrazy: zbyt obraźliwe, zbyt jadowite i zbyt obce wypełzną z twoich ust tak, jak mój język w tej chwili rozciąga się, aby polizać cię po policzku. Fala rozszalałego, gniewnego morza zaleje wszystko i wszystkich, i zobaczysz, jak ciała rozścielają się na jego tafli, niczym oderwane od dna wodorosty. W jednej, zbyt krótkiej do uchwycenia chwili, odzyskasz grunt pod nogami. Będziesz oddychał szybko i nierówno. Wstrząśnie tobą dreszcz. Zorientujesz się, że stoisz na trawniku przed swoim pięknym i bezpiecznym domem, wpatrując się zapłakanymi oczyma w głębokie niebo. Równie bezdenne, jak morze.

Pstryk. To nie ja zapaliłem tę zapałkę, tylko ty. I to twoje palce pieką.

Klaudia Białogłowicz

I nagroda w kategorii: Poezja

*Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1
Liceum Ogólnokształcące
Krosno*

Wspomnienie

Czasem myślę o dawnych czasach.
Gdy każdy kot był moim przyjacielem,
A rany na kolanach nie bolały, gdy biegłam za piłką.

Oddałabym dzisiaj wszystkie barwy lata,
Każdy mój uśmiech i myśl pogodną,
Za tamte chwile beztroski w otoczeniu matki i ojca.

Odwracam strony w pożółkłej książce życia,
Z zapartym tchem znów na nowo odczytuję
Te same historie...

Okulary

Dostałam dzisiaj nowe okulary.
Są ciężkie, czarne i uwierają na nosie.
Zakładam je i oglądam świat z innej perspektywy.
Nagie drzewa rzucają beznamietne cienie.
Ludzie idą po chodniku przygarbieni, zmęczeni
na nikogo nie patrząc.
Twój uśmiech jest jakiś odpychający i drażniący.
Nie, te okulary to pomyłka!
Gdzie są moje stare, różowe okulary,
przez które widziałam zieloną trawę,
ludzi śpiewających na moście,
widziałam Twój zwykły uśmiech.

Żal za grzechy

żałuję
tego zbliżenia sprzed tygodnia
w pozycji bocznej niescalonej
żałuję oddechu
zapachu perfum
każdego opuszka
mrugnięcia oka

żałuję nas samych
gdy w ciał eucharystii
zostaliśmy jedną żalną całością

ciałem się stać miało Twoje słowo
ciałem się stały bez słowa ciała

żałuję okrzyku wulgarnego
co się zrodził z chorego złudzenia
wyleczyć nas miało kyrie eleison
a boli spuchnięty kark od kamieni

żałuję westchnień
uśmiechów i łez
biegu z bukietem tulipanów
kopert i listów
spacerów i świec
wina i ciała
bez pokornego amen

żałuję Boże
że klęczę przed Tobą
marnując noce na ciągłe pytanie

żałuję że jutro wstanę dla kogoś
i z żalem powrócę do swoich grzechów

Jakub Ziółkowski

II nagroda w kategorii: Poezja

*Liceum Ogólnokształcące im. Komisji Edukacji Narodowej
Stalowa Wola*

dążenie do perfekcji
zgubiło już wielu
bo próbowali wskoczyć jednym susem
na milową górę
albo do końca
odkładali wspinaczkę na potem
nie wiedzieli co zabrać
plecak torbę czy kufer
i głowili się nad kolorem namiotu
aż górę diabli wzięli
i pochłonęło ją morze

tylko rzeczy mu drogich kochać nie przestanie

dziwna miłość do rzeczy, nieodwzajemniona
najwyżej tylko tym, że potrafią być piękne
i trwać

tylko to umieją
mimo to serce ciągle do nich drży
a oczy nacieszyć się nimi nie mogą
bo one stworzone są do podziwiania

stałe wieczne niezmiennie
ich wrogiem tylko kurz
i grawitacja

W niektórych tyle wspomnień
uroku wiedzy piękna atomów
aż szkoda, że nie da się ich zabrać
Tam
gdzie nawet szczoteczka do zębów
nie ma prawa bytu

Second-hand

Sklep z sercami używanymi!
We wtorki nowa dostawa towaru!
Wampiry uczuć pchają się łokciami.
Szukają błękitnej krwi.
A na stosach obojętności i samotności
leżą.
We wszystkich możliwych kolorach:
(czerwieni) miłości, (zieleni) zazdrości
(czerni) rozpaczki lub nienawiści.
Wszelkie możliwe fasony
od niemodnej tandety
roczulenia, współczucia, słabości.
Po najnowsze kroje
zobojętnienia, pogardy i egoizmu.

W zależności od kondycji emocjonalnej
i gatunku materiału,
serca zostają kupione za bezcen
lub tułają się dalej.
Na nową dostawę towaru.

„Teatrum mundi”

z kolorowych kieszeni
spodni łątanych na kolanach
wyciągamy muzykę
pod kapeluszem z pawim piórkim
czy też beretem
chowamy gesty
a najgłośniejsze śmiejemy się
na środku ulicy
tańcząc płątańca
Cisza!
słowa spadają niczym gilotyna
Giaur wydaje ostatnie tchnienie
publika zamiera razem z nim
kapłan w milczeniu odchodzi...

i nie ma nic
zostajemy tylko my
odarci
bez emocji, myśli, chwil
uczuć, słów, gestów
idziemy dalej
by wciąż umierać,
a potem znów radośnie żyć.

Michalina Broda

Wyróżnienie w kategorii: Proza

Zespół Szkół Ogólnokształcących
Powiatowe Gimnazjum
Biłgoraj

Pogranicze

Odkrywam historię, poznaje najskrytsze tajemnice ludzi, którzy nie mogą już ich chronić. Dążę do prawdy, choć los jest przeciwny. Czy warto?

Wyruszyliśmy na wschód Polski, do niewielkiej miejscowości przy granicy z Ukrainą. Według notariusza znajduje się tam dom naszej dalekiej krewnej, który otrzymali w spadku moi rodzice.

Budynek nie prezentował się imponująco. Farba obłaziła, w podłodze ganku brakowało kilku desek, okiennice zwisały smętnie na starych, zardzewiałych zawiasach. Pomimo tego było w nim coś intrygującego. Idealnie wpasowywał się w klimat pogranicza. Tylko na tym niewielkim kawałku ziemi pomiędzy dwoma krajami drzewa są poskręcane, a drogi i rzeki bardziej kręte. W środku nie było o wiele lepiej, jednak kilka gwoździ i trochę farby może sprawić, że dom odzyska na powrót swój dawny urok.

Chwilę po naszym przyjeździe usłyszeliśmy pukanie do drzwi. Na ganku stała kobieta. Mogła mieć około sześćdziesięciu lat. Siwe włosy nosiła gładko uczesane, bez wdzięku i stylu. Spoglądała na dom wyblakłymi, niebieskimi oczami zza okularów w grubych oprawkach. Pani Eliza, bo tak się przedstawiła, dość nerwowo wypytywała o dom. Czy zamierzamy zostać? Na jak długo? Czy zasadzimy kwiaty w ogrodzie? Jeszcze nie potrafiliśmy odpowiedzieć. Póki co postanowiliśmy zostać na noc.

Obudziłam się w środku nocy. Zatrzeszczała jakaś deska na piętrze, kiedy ponownie coś usłyszałam, odruchowo spojrzałam w sufit. Rozległo się ciche zamykanie drzwi, serce podskoczyło mi do gardła, ktoś był w domu. Czy ktoś schodził z góry, czy to wyobraźnia płata mi figle? To tylko stare deski – próbowałam racjonalnie wytłumaczyć skrzypienie, które ucichło po chwili, wraz z cichym trzaśnięciem drzwi frontowych. Rano cała sytuacja wydała mi się absurdalna.

Kości

Przez kilka dni pracowaliśmy w pocie czoła. Wynosząc śmieci, naprawiając pomniejsze usterki, wreszcie oczyszczając zaniedbany ogród. Ziemia wokół domu była skalista, zarośnięta krzewami i chwastami. Należało wykopać kilka korzeni, po starych ściętych lata temu drzewach. Za to zabrał się mój

ojciec, ja tymczasem zaczęłam pelić grządkę obok. Nagle w ziemi dostrzegłam coś białego, jakby wydrążony kamień. Zaczęłam krzyczeć. Tuż obok mnie leżała ludzka czaszka. Wezwaliśmy policję.

– Wiedzą państwo, czasami trudno odróżnić ludzkie kości od kości zwierzęcych. Może to szczątki sarny? – usłyszałam, podchodząc do rodziców i przybyłego policjanta.

– Porządkowaliśmy ogród, nagle córka zauważyła to... – mama wskazała na znalezisko.

Policjant przykucnął i gwizdnął cicho.

– Nie wygląda to na kości sarny – powiedział bardziej do siebie niż do nas. – Muszę zawiadomić dochodzeniówkę.

– Co dalej? – spytałam.

– Nigdy nie miałem do czynienia z takim przypadkiem, to spokojna okolica. Zapewne pošlę wasze znalezisko do ekspertyzy medycznej. Dopiero jak dostaniemy wynik, będzie można wszcząć dochodzenie.

– Dochodzenie? – szepnęłam. – Jakie dochodzenie?

– Cóż, skoro ktoś został pochowany obok domu, to znaczy, że...

– Że ktoś go tam pochował – dokończył ojciec.

Obserwowałam działania policji z ganku. Przesiewali ziemię, starannie pakowali to, co znaleźli. To, co właśnie trafiało do plastikowych toreb, było kiedyś żywą istotą ludzką: kobietą albo mężczyzną, kimś, kto myślał, czuł. I kto spoczął tuż obok tego domu. O takim wydarzeniu nie można zapomnieć. Muszę dowiedzieć się, kim była ta osoba i dlaczego została zakopana na terenie tej posesji.

Znalezisko na strychu

Byliśmy wstrząśnięci znaleziskiem w ogrodzie, jednak postanowiliśmy zostać w domu. Przyzwyczailiśmy się do tego miejsca, a to, co wydarzyło się tutaj przed wieloma (zapewne) laty, nas nie dotyczy.

Był ciepły ranek, postanowiłam po raz pierwszy obejrzeć strych. Gdy byłam w połowie drogi na górę, spostrzegłam ślady stóp na stopniach schodów, a przecież żadne z nas nie wchodziło na strych, bo i po co? Znalazłam tatę, razem weszliśmy na strych.

– Ktoś tu był.

Podążyłam za spojrzeniem ojca. Jak się spodziewałam, na strychu nie było niczego ciekawego. Stary fotel, nadająca się do wyrzucenia kanapa, lampa bez abażuru, komoda i duży podróżny kufer.

– Dziwne, wygląda na to, że nikt nie zaglądał tutaj od lat – powiedziałam.

– Raczej od tygodnia – poprawił mnie ojciec. – Spójrz tutaj.

Podszedł do kufra, podążyłam za nim. Na pokrywie widniał odcisk dłoni, który ktoś zostawił w kurzu.

- Ale... – nic więcej nie zdołałam powiedzieć. Ponownie wezwaliśmy policję.
- Podobno ktoś włamał się do domu? – powiedział policjant, ten sam, który był u nas poprzednio.
- Wszystko na to wskazuje, ktoś musiał być na strychu w zeszłym tygodniu – wyjaśnił tato.
- W zeszłym tygodniu!? Dlaczego nie zadzwoniliście wcześniej?

Zrobiło mi się głupio.

– Obudziłam się w środku nocy i słyszałam, jak ktoś chodził po domu, ale... – wzruszyłam ramionami. – Rano pomyślałam, że się przesłyszałam i nie wracam do tej historii.

Policjant kiwnął głową, a rodzice zaczęli wyjaśniać resztę wydarzenia.

Wróciłam do swojego pokoju. Wczoraj znalazłam stare pamiętniki Alicji i teraz zamierzałam je przejrzeć. Ciotka prowadziła je, odkąd skończyła osiem lat. Były to zwykłe zapiski małej dziewczynki, później nastolatki. Alicja była bardzo konsekwentna. Pisała prawie każdego dnia, jednak w jednym notatniku brakowało prawie trzech tygodni zapisków, wyglądało to tak, jakby ktoś je wyrwał.

- Po co jakaś osoba miałaby zakradać się tutaj i kraść coś ze starego kufra, w dodatku teraz, gdy akurat ktoś się zajął domem. Stał pusty prawie dwa lata...
- usłyszałam głos policjanta z przedpokoju. – Z dołu nic nie zginęło? Są państwo pewni?

No właśnie, dlaczego? Co się tutaj dzieje? Jaka tajemnicę skrywa ten dom. Nagle wpadłam na pewien pomysł. Pani Eliza, sąsiadka przecież przyjaźniła się z ciotką. Może ona choć domyśla się, co się tutaj dzieje.

Tajemnicza Izabela

Wzięłam z kuchni kawałek ciasta, zapakowałam i postanowiłam odwiedzić sąsiadkę. Pani Eliza wyglądała identycznie jak wtedy, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy.

- Po co właściwie przyszłaś? – spytała starsza pani, bawiąc się skrajem rękawa sukienki.
- Tyle się tutaj dzieje – nie wiedziałam, jak zacząć. – Znała pani moja ciotkę, Alicję?
- Tak, przyjaźniłyśmy się od dzieciństwa, byliśmy trzy: ja, Alicja i Izabela, teraz pozostałam sama. – Pani Eliza spojrzała w niebo. – Zapewne chcesz zrozumieć wydarzenia ostatnich tygodni?

Przytaknęłam.

- Widzisz, ta sprawa was nie dotyczy. To stare dzieje, nie mieszajcie się w to!
- Starsza pani powiedziała to takim tonem, że ciarki przeszły mnie po plecach. – A co do tych kości... Wypadki się zdarzają, i nie każdy wie, jak na nie zareagować. Ta dziewczynka pochowana obok domu. To nie wasza sprawa! – Starsza pani zamilkła na chwilę. – A teraz idź już!
- Ale... – zaczęłam
- Idź!

Posłusznie wyszłam z ogrodu. Nie mogłam zrozumieć sensu słów staruszki, ani całej tej sytuacji. Jaka mała dziewczynka? Co wie pani Eliza?

I wszystko ma logiczne wyjaśnienie

Kilka kolejnych dni upłynęło mi na rozmyślaniu o starym domu i wymyślaniu różnych scenariuszy. Kiedy wróciłam ze spaceru zobaczyłam, jak na ganek rodzice rozmawiają z funkcjonariuszem policji. Podeszłam i stanęłam obok.

– Według raportu są to szczątki dziecka, dziewczynki. W chwili śmierci miała dziewięć, może dziesięć lat.

Skaąd pani Eliza o tym wiedziała, skoro dopiero teraz przyszedł raport?

- Jak długo... – zaczęłam. – Jak długa tam leżała?
- Jakieś pięćdziesiąt lat – odparł policjant.
- Wtedy ciotka Alicja była w podobnym wieku co ta dziewczynka. Przeglądałam jej pamiętniki... przepraszam na chwilę – krzyknęłam w drodze do sypialni. Wróciłam na ganek. – Alicja pisze tutaj, że są trzy, trzy przyjaciółki, ale nagle brakuje kilku stron, zostały wyrwane – mówię, otwierając notes. – A później pisze o sekrecie tylko dwóch. Może to nic nie znaczy, ale...
- Wiecie, kim była ta dziewczynka? – spytała moja mama.
- Nie, niestety nie. Po tylu latach ciężko będzie ustalić jej tożsamość. Wiemy tylko, że zginęła, ponieważ złamała kark.
- Mógłbym zobaczyć ten pamiętnik? – pyta.

Oddaję mu notatki bez słowa. Tylko pani Eliza może to wyjaśnić. Pozostawiam dorosłych samym sobie i idę do sąsiadki. Otwiera mi jej córka.

– Mamę nie ma, pojechała do mojego brata do Niemiec – mówi. Dziękuję i mam już odchodzić, kiedy kobieta prosi, żebym zaczekała i znikła w głębi domu.

– Mama prosiła, żeby ci to dać, mówiła, że pewnie przyjdiesz – powiedziała, dając mi pudełeczko zawinięte w wyblakły papier w kwiatki.

Chwilę gawędzę z kobietą i szybkim krokiem wracam do domu.

W pokoju otwieram pudełeczko. W środku są kartki zapisane wyblakłym dziecięcym pismem, brakujące strony z pamiętnika Alicji oraz krotki liścik od starszej pani.

Po chwili wszystko staje się jasne.

Trzy przyjaciółki: Alicja, Eliza i Izabela zostały same w domu na cały dzień. Rodzice zapewne pracowali w polu, a dziewczynkami nie miał kto się zająć. Założyły się, która szybciej przejdzie po skraju dachu. Alicji się udało, następna miała być Izabela. Kiedy weszła na drabinę, dziewczynki chciały jej zrobić kawał, zaczęły kołysać drabiną. Izabela straciła równowagę, spadła, nie ruszała się, nie oddychała, nie żyła. Dziewczynki przeraziły się. Obok domu rodzice niedawno sadzili drzewa, więc ziemia była jeszcze miękka. Z trudem udało im się wykopać płytki grób i zakopać w nim Izabelę. Wymyśliły historię, że dziewczynka poszła do lasu i nie wróciła. Szukano jej, jednak nigdy nie znaleziono, rodzice mogli się czegoś domyślać, jednak zapewne chronili swoje dzieci i nic nie mówili. Alicja zapisała wszystko w swoim pamiętniku, ale pewnego dnia uświadomiła sobie, że jej notatki może ktoś przeczytać. Razem z Elizą wyrwały kartki i ukryły je w kufrze na strychu. Nigdy nie zdradziły swojej tajemnicy, bały się konsekwencji. Z liściku od pani Elizy dowiedziałam się, że to ona zakradła się w nocy do domu, aby zabrać kartki.

Co dalej? Dlaczego pani Eliza dała mi to pudełko, dlaczego uciekła? Czy powinnam zachować tajemnice przyjaciółek?

Na niektóre pytania trudno odpowiedzieć lub nie ma odpowiedzi, jednak odkrycie choć części czyjejś przeszłości zawsze niesie za sobą konsekwencje. Czy wiedząc, co odkryję, dążyłabym do prawdy? Nie wiem. Niedługo wyjedziemy z pogranicza, zapewne wrócimy tutaj dopiero za rok, w przyszłe wakacje, ale historia tego miejsca zawsze będzie gdzieś na dnie umysłu.

Zasuszony kwiatek

Było lato 1940 roku. Sierpień. Piękny miesiąc, zwłaszcza w niewielkim miasteczku – Korczynie. Jak zwykle – młode małżeństwo (mieli tylko po 20 lat) – Stasia Piworska-Maczkowska i Janek Maczkowski – spacerowali koło mostu, bo tam było bezpiecznie. Obok rozciągała się piękna polana, skąpana w wakacyjnym słońcu. Połyskiwały na niej kolorowe kwiaty, lekko poruszane przez ciepły, przyjemny wiatr. W powietrzu unosił się zapach świeżej trawy. Ludzie w polach kopali sianki i kopili siano. Jakieś dziecko płakało w oddali, bo obudziło się w słomianej opałce, a rodzice byli zajęci pracą na roli. Niby piękny krajobraz, ale czy wieczny? Nie, na pewno nie! Z pewnością zaraz coś zakłóci ten spokój, niewiarygodnie dziwny spokój. Coś jednak było na rzeczy. Zbyt długo trwała ta cisza. Pewnie zaraz zaczniesz bombardowanie albo jeszcze coś gorszego. Lecz na razie jest cisza... Zwykła, błoga cisza... I niech tak pozostanie! Chmury pełzną po niebie tak szybko, jak gdyby chciały pokonać niewiarygodnie ogromną przestrzeń w niesamowicie małym czasie. Nawet one się spieszą. Ptaki jeszcze śpiewają, ich głos rozchodzi się po całej okolicy. Zachowują się normalnie, jakby niczego nie przeczuwały. A coś jednak musi się wydarzyć. Zbyt długo jest dobrze, przyjemnie.

Tymczasem Stasia miała Jankowi do powiedzenia coś bardzo ważnego. Jan, na tę okazję, przygotował dla Staszki duży bukiet czerwonych róż. Wręczył jej je, po czym mocno przytulił. Stasia wreszcie oznajmiła mężowi, że będą mieli dziecko. Młode małżeństwo było bardzo szczęśliwe i wzruszone. Nagle coś przerwało tę ciszę. Zaczęli pojawiać się Niemcy i wprowadzać zamęt. Rozdzielili Stasię i Janka, po czym zabrali Jana ze sobą. Następnie wyrwali z rąk Staszki bukiet róż i jeden z Niemców z satysfakcją rzucił go na trawę i zaczął deptać. Staszka krzyczała ze wszystkich sił, co on robi, ale ten nie przestawał. Tym razem wziął Stasię za rękę i rzucił ją w krzaki, po czym odszedł z pozostałymi. Zabrali ze sobą Janka i kilku innych mężczyzn. Staszka zaczęła krzyczeć, żeby go oddali, ale na nic. Wpadła w rozpacz i panikę. Podeszła do róż, usiadła koło nich, ale były wszystkie zniszczone. Po chwili zauważyła jednak, że jedna z nich jest cała – ta, która miała największe kolce i jest największa. Wydała jej się najmocniejsza. Po powrocie do domu zasuszyła ją i postawiła w centralnym miejscu. Od teraz będzie jej przypominać Janka. Na

nic poszły próby odnalezienia go. Nigdzie go nie było. Jednak dziewczyna nie przestawała wierzyć, że kiedyś znów go zobaczy. Czerwona róża towarzyszyła jej na każdym kroku.

Tak mijaly miesiące, a wieść o Janie zaginęła. Nikt nic nie wiedział, nie słyszał. Staszka miała wsparcie u swoich rodziców. Opiekowali się nią i jej małą córeczką, którą niedawno urodziła. Nazwała ją Helenka. Była tak bardzo podobna do Janka. Szkoda, że nie mógł jej zobaczyć. Małżonkowie w ogóle nie mieli ze sobą kontaktu. Przemijały lata, upływał czas, a Stasia z Helenką zostały przez wojnę wywiezione za granicę. Również nie miała kontaktu ze swoimi rodzicami. Słuch po Staszce także zaginął.

Po zakończeniu wojny Janek mógł wreszcie powrócić w rodzinne strony. Miał nadzieję, że w domu czekać na niego będą – żona i dziecko. Nie było chwili, żeby o nich nie myślał. Gdy powrócił do Korczyny, zastał ją zniszczoną. Nie spotkał nikogo bliskiego, nawet rodziców Staszki. Sąsiedzi nic nie wiedzieli o nich. Janek był załamany. Zaczął szukać Staszki po całej Polsce, ale nigdzie jej nie było. Niektórzy mówili, że być może nie żyje. Nie mógł zostać w Korczynie, bo wszystko mu ją przypominało. Wyjechał na drugi koniec Polski, by tam żyć w osamotnieniu. Poświęcił się nauce. W sercu cały czas czuł pustkę, cierpienie i rozpacz.

Mijały kolejne lata, młodość odeszła w zapomnienie. Już nic nie było jak dawniej, świat się zmienił. Janek osiwił, miał już 60 lat, ale czuł taką głęboką pustkę, że musiał coś zrobić. Postanowił, że wróci do swojej rodzinnej miejscowości po 40 latach, by chociaż odszukać grób zmarłej i odmówić na nim pacierz, skoro nie może znaleźć jej wśród żywych. Przybył do Korczyny ze łzą w oku. Wszystkie wspomnienia powróciły. Widział polanę, na której bawił się w dzieciństwie, strumyk, po którym kiedyś chodził, most, gdzie ostatnio widział swoją ukochaną z młodych lat. Opuszczał to miejsce, mając zaledwie 20 lat, a powrócił tu jako 60-letni mężczyzna. Odwiedzał dawne kąty, które przysparzały mu teraz tyle cierpienia. W starych twarzach rozpoznawał przyjaciół ze szkolnego podwórka. Swoje kolejne kroki skierował na cmentarz. Miał nadzieję, że chociaż tam odnajdzie grób swojej ukochanej. Godzinami czytał imiona zmarłych na nagrobkach, ale nigdzie nie mógł znaleźć grobu Stanisławy Piworskiej-Maczkowskiej. „Może źle szukam? Może to nie ten cmentarz?” – myślał. Zaczął już wątpić. W pewnym momencie ujrzał starszą kobietę, siedzącą na ławce przy grobie. Wyglądała na około 60 lat. Głębokim spojrzeniem wpatrywała się w napis na nagrobku: „Memento mori – Pamiętaj o śmierci”. Janek przyglądał jej się przez chwilę, po czym podszedł do niej i usiadł koło niej na ławce. Zapytał:

– Pani stąd?

– Teraz już tak – odpowiedziała. – Długi czas byłam za granicą i kilka lat temu wreszcie udało mi się wrócić.

– To przez wojnę?

– Tak. Wojna zrujnowała moje życie, odebrała jego najważniejszą część.

– Dokładnie panią rozumiem. Mnie również zniszczyła wszystko, co kochałem.

– To pani rodzice tutaj spoczywają?

– Tak, zmarli jakiś czas temu. Zawsze powtarzałam sobie, że i moje małżeństwo będzie tak udane – jak ich. Tymczasem straciłam moją wielką miłość w młodości. Miałam męża, oczekiwaliśmy narodzin dziecka, a wojna go zabrała. Nie wiem, co się z nim stało. Od 40 lat nie miałam z nim kontaktu. Pozostała mi po nim tylko zasuszona róża. Moja córka jest bardzo do niego podobna. A pan co tutaj robi?

– Przyjechałem po wielu latach, by odszukać grób swojej ukochanej. Jestem przekonany, że nie żyje. Chciałbym chociaż wiedzieć, gdzie spoczywa.

Dopiero teraz Janek spojrzął na grób, przed którym siedział. Przeoczytał na tabliczce: „Maria i Bronisław Piworscy”. Do oczu napłynęły mu łzy. Przeżył mocny wstrząs. Zaczął mocno wpatrywać się w kobietę siedzącą koło niego.

– Staszka?! – wykrzyknął głęboko.

Kobieta nagle zerwała się i gwałtownie popatrzyła na Janka.

– Janek? O Boże, Janek! – zawołała z wszystkich sił.

Nagle do obojga dotarło, że wreszcie spotkali się – po tylu latach. Nie mogli w to uwierzyć. Złapali się w mocnym uścisku i głęboko płakali. Łzy leciały im po policzkach strumieniami. Po jakimś czasie, gdy sobie już wszystko wyjaśnili, Stasia powiedziała:

– Helenka jest tak bardzo do ciebie podobna!

Janek nie mógł powstrzymać łez. Chciał jak najszybciej zobaczyć się z córką. Oboje ze Stasią długo wpatrywali się w siebie z miłością. Później wrócili do domu – już do ich wspólnego domu. Janek powiedział:

– Tak bardzo za tobą tęskniłem! Myślałem, że cię już nigdy nie odnajdę. Nie miałem o tobie żadnych wieści. Byłem przekonany, że nie żyjesz. Nie dochodziły do ciebie żadne listy.

– To dlatego, że byłam za granicą, a rodziców też tu nie było. Nie miałam się z tobą jak skontaktować. Nie było chwili, żebym o tobie nie myślała. W Helence widziałam ciebie. Musi się z tobą jak najszybciej zobaczyć. Mieszka w Krośnie, ma męża i dwójkę dzieci. Jesteśmy już dziadkami.

Stasia wzięła do ręki rodzinne zdjęcia i pokazała Jankowi. Był wzruszony. Następnie wyciągnęła różę i powiedziała:

– Pamiętasz? Przy naszym ostatnim spotkaniu podarowałeś mi bukiet róż. Niemcy zniszczyli je, ale jedna przetrwała. Jest niezniszczalna. Teraz już wiem – dlaczego. Symbolizowała nadzieję, że jeszcze kiedyś cię odnajdę.

Janek i Stasia spędzili razem kilkanaście pięknych lat, otoczeni gromadą wnuków. Dożyli później starości. Gdy zmarli, zostali pochowani w jednym grobie, a na pomniku przymocowano w szklanym opakowaniu symbol ich miłości – zasuszoną różę. Mimo wielu lat, ona tam wiecznie była. Nigdy nie została usunięta i trwa tam do dziś. Niektórzy zastanawiali się, czym właściwie jest ten zasuszony kwiatek. Tę tajemnicę dokładnie znali Stasia i Janek. Była symbolem ich wielkiej, niezłomnej, nieustającej miłości i nadzieją, że kiedyś się spotkają. To ona dodawała Stasi sił do pokonywania świata i zaprowadziła ją prosto do celu – do miłości swego życia.

„Na końcu mnie jest świat...”

Paulina Lenda – Osobność

Krosno to nieduże miasto, w którym się urodziłam, gdzie powietrze pachnie konserwatyzmem. Jego przejawy są widoczne na każdym kroku. Nie jest to coś złego. Prostym przykładem jest model rodziny. Gdy w mediach i większych miastach promowany jest wizerunek rodziny: „2+1, czyli mąż, żona i pies”, to w rejonie, gdzie mieszkam, świat nie zamyka się na brak miłości do dziecka, dominuje wielopokoleniowość. Daje ona każdemu z członków rodziny możliwość kształtowania swojego charakteru przez osobiste interakcje.

Istotą modernistycznej rodziny pokoleniowej jest życie razem, ale osobno. Młodzi chcą się skutecznie od niej odizolować, starzy w niej zostać, a gdy przyjedzie potrzeba wsparcia, koniecznie powrócić do opowieści „A w moich czasach...”. Dzieciom pozwoli przypomnieć lata niezwykłych historii, a dziadkom znowu poczuć się młodo. Kto z nas nie pamięta rysowania laurek i wyrecytowanego wierszyka „Jestem małą różyczką, wyskoczyłam z koszyczka, nie umiem wieszować, tylko pocałować...” sprawiającego więcej uśmiechu aniżeli najdroższy prezent.

Każdy z nas ma wspomnienia związane z wigilijnym stołem, przy którym siedzą bliskie nam osoby: dzieci, rodziców, dziadków. Następuje zderzenie trzech racji pokoleniowych. To właśnie różnice bytu czynią rodzinę czymś wyjątkowym. W świecie dominuje hasło: „z rodziną dobrze wychodzi się tylko na zdjęciu”, lecz to każda kłótnia staje się lekcją przebaczenia i miłości. „Za bramą domu, rozciąga się już inny świat” – jak głosi przysłowie bułgarskie. Każdy z nas żyje po to, by wracać. Praca nie daje nam satysfakcji, jeśli nie możemy docenić powrotu do bezpiecznego miejsca na ziemi. Rodzina z czasem powinna stać się jak dziecięca przytulanka, która wraz z dzieckiem przeżywa każdą z radością, a z wiekiem nasiąka łzami.

Żeby dziecko mogło być wdzięczne swojej rodzinie, powinno zapamiętywać swoje pierwsze lata życia: każdą zmienioną pieluchę, karmienie nocą czy mozolną naukę chodzenia. Jednak wtedy bezwarunkowa miłość rodziców nie miałaby sensu. Ktoś, kto odpowiada za wychowanie, nie może bać się stanowczości. Wynika z tego bardzo ważna wartość dla dzieci – poczucie bezpie-

czeństwa, które jest jak klamka w drzwiach do refleksji nad pytaniem: co dziecko, którym byłeś, powiedziałoby o dorosłym, którym się stałeś?

Na krośnieńskich ulicach można z łatwością rozróżnić Mężczyzn od mężczyzn. Mężczyzna pisany z wielkiej litery to nie ten, który potrafi zdobyć wiele kobiet, ale ten umiejący wychować choć jedną dziewczynkę. Istnieje dość wyraźna różnica między byciem rodzicem a banałem zostania nim. Czasami Bóg wkłada dzieci do nieodpowiednich brzuszków i rodzice muszą się potrudzić, by je odnaleźć.

Nasza egzystencja nie opiera się jednak tylko na rodzinie.

Otoczające nas społeczeństwo promuje zarówno postawy pozytywne, jak i negatywne. Oglądając wiadomości w wieku 12 lat, miałam jedno marzenie – nigdy nie stać się dorosłą osobą. Zostać dziewczęcą wersją postaci z bajki – Piotrusiem Panem. Przerazał mnie ten cały dorosły świat. W życiu tak pełnym antagonistycznych uczuć i postaw każdy może poczuć się zdezorientowany. Ich Nibylandia była tak realna, tak rzeczywista. Patrząc na zatroskanie żon, zapracowanie mężów, gonitwę za sukcesem singli, pretensje feministek, kłótnie polityków, scen prosto wyjętych z telewizji, po prostu nie chciałam się stać – dorosłą. Nie rozumiałam, co się stało ze światem, w którym zawsze zwycięża dobro nad złem, gdzie odeszła moja bajkowa iluzja o ludziach. „Wielki świat” nie był taki jak miejsce, w którym się wychowałam.

Nastąpiło zetknięcie dwóch idei: mojej – przedstawiającej utopię i rzeczywistej obrazującej standardowość i typowość życia, dotąd nierozumianej przeze mnie. Oglądając obraz „Ostatnia Wieczera”, wyobrażałam sobie wspólnotę, w dzisiejszych czasach można by powiedzieć, że wszyscy zasiedli po jednej stronie stołu by nie zasłaniać telewizora. Ze świata pisanego wierszem zrobiłam wielki krok do wegetacji prozaicznej.

W pogoni za prestiżem tak łatwo jest zapomnieć o tym co ważne. Dzieci są małe bardzo krótko. Warto jest jednak zatrzymać się i wspólnie dzielić rozterki i radości z ich wychowania. Muszę stwierdzić, że nie ma idealnej zasady na dobre życie czy poprawną egzystencję. Nasz wybór to krok ku drodze z napisem „Przyszłość”. To, czy skęcimy w naiwny, złudny i medialny obraz rodziny, zależy od nas samych. Stawiamy kroki tak, by nigdy nie zaśpiewać w duecie z Czesławem Niemenem piosenkę „Chciałbym cofnąć czas”. Dominująca obecnie kultura i mentalność sprawiają, że nasze społeczeństwo obfituje w młodzież naiwną, bezradną, która nie będzie potrafiła poradzić sobie w życiu. Ten czynnik jednak powoduje deficyt ludzi zdolnych w przyszłości do założenia rodziny i trwałego małżeństwa.

Klatka

Słyszysz mnie ktoś?

Nie wiem... Jeżeli tam jesteś, to znaczy, że często mnie widzisz, a to każe mi wytłumaczyć się... z siebie. Muszę powiedzieć komukolwiek, skąd się tutaj wziąłem, taki, a nie inny. Nawet, jeżeli ten ktoś nie istnieje.

Już słuchasz?

Dobrze... Wszystko zaczęło się w miejscu, gdzie zaczyna się większość współczesnych historii życia. Ponoć już od pierwszego momentu byłem nadzwyczaj spokojnym dzieckiem. Leżałem i pojękiwałem, a mimo to lekarze jednogłośnie stwierdzili, że jestem zdrowy i pogratulowali matce wspaniałego syna.

Dalsza część życia jest dla mnie tajemnicą. Nie mam pojęcia, co działo się między snem, a ssaniem. Być może nic ciekawego. Pojawiła się gdzieś tam nauka chodzenia na „dwóch łapach” i składanie wyrazów, ale to przeżywa każdy człowiek. Niestety, wśród oceanu wiedzy pływała kropla, której nie zdążyłem pojąć na czas. Mianowicie, nikt mnie nie nauczył, że wtykanie do kontaktu kawałka drutu nie jest dobrym pomysłem. Wiedząc, że z tego otworu płynie prąd, chciałem go stamtąd wyjąć i zobaczyć, jak wygląda.

Chwilę później przerażeni rodzice zaczęli mnie uspokajać. Skończyło się tylko na niegroźnym trzępnięciu, ale mogło być inaczej. Nie każdy wie, że w jednym otworze gniazdko jest tak zwane zero, a w drugim faza. Porażenie z jednego jest niegroźne, ale z drugiego może powodować silne oparzenia, a w przypadku takiego brzdąca jak ja – nawet śmierć.

Chyba miałem szczęście, bo życie moje toczyło się dalej. Poznawałem świat i beztrudnie cieszyłem się każdym dniem, dopóki nie przyszło do nauki czytania. Literka „A” w niczym się dla mnie nie różniła od chociażby „R”. W końcu okazało się, że mam słaby wzrok. Musiałem nosić okulary już jako przedszkolak, a i to był dopiero początek kłopotów.

Lekarz zakazał mi nadwyrężania oczu, więc rodzice dali mi do zabawy flet. Taką najprostszą plastikową piszczałkę. Jako że nie miałem innych rzeczy do roboty, od rana do wieczora torturowałem go na najwymyślniejsze sposoby. Wygrywałem przeróżne melodyjki zasłyszane w radiu i nierzadko

wymyślałem własne, zadziwiając pana od muzyki moimi zdolnościami. Pewnego dnia powiedział rodzicom, że warto byłoby mnie wysłać na lekcje z czymś bardziej skomplikowanym.

Tak zaczęły się moje lekcje gry na klarnecie. Cała rodzina zachwycała się moją wirtuozerią i po niedługim czasie do grona chwalebnych mnie dołączyli również uznani muzycy.

Czułem się wspaniale, skacząc po pięciolinii i pozwalając, by nuty zastąpiły zwykły tok myślenia. Doskonale pamiętam te ogłuszające oklaski, które wybrzmiały w szkolnej auli, gdy skończyłem występ. Niestety, nie mogłem już tego zobaczyć. Mój świat składał się wyłącznie z kolorowych plam, które niedługo również utraciłem.

Wtedy zapadła decyzja, że muszę jechać do neurologa. Wzrok mógł być sprawą jakiejś wymyślnej choroby oczu, której okulista nie potrafił zidentyfikować, ale ja zacząłem tracić słuch! Wszyscy martwili się o moją karierę, a ja martwiłem się o siebie. Jechaliśmy szybko. Ojciec prowadził zdenerwowany, lecz udało mu się dowieźć nas w jednym kawałku.

Po długich badaniach przepowiedziano mi, co mnie czeka. Miałem powoli utracić wszystkie zmysły i skończyć w tak zwanym „warzywniaku”, czyli miejscu dla ludzi, którzy nie mówią, nie ruszają się i nie robią w zasadzie nic poza istnieniem.

Zabawne, prawda?

Dla mnie to nigdy nie było ani trochę śmieszne, szczególnie wtedy, gdy przepowiednia się spełniła. Niestety, lekarze lepiej odgadują przyszłość od cygańskich wróżek.

Mogłem tylko myśleć i spać. Z początku było to męczące, ale człowiek należy do tego rodzaju bestii, które nadzwyczaj szybko przystosowują się do nowych warunków. Mnie to też dotyczyło, chociaż do mojego człowieczeństwa można było mieć pretensje.

Sen, który chyba dla wszystkich jest przyjemnością, dla mnie był rautunkiem. Podczas gdy umysł spał, zaczynałem odbierać obrazy i dźwięki kreowane wewnątrz mnie, całkowicie niezależnie od oczu i uszu. Wy, ze świata zewnętrznego zapewne nie wiecie, co jest w snach „ludzi roślin”. Może się wydawać, że nasze sny są puste tak samo jak nasza rzeczywistość, lecz prawda jest inna. Nasze marzenia senne to wzmocnione wspomnienia życia sprzed zamknięcia.

Zastanawiałem się wielokrotnie nad istotą zmysłów. Cały świat odbierany przez nie jest w istocie tylko impulsami nerwowymi, tak samo jak złudzenie. Czy nie oznacza to, że świat jest równoważny ze złudzeniem? Przecież bez tych wszystkich receptorów nie ma dla nas nic poza własnym umysłem. Nie ma więc prawie nic. Znika złudzenie razem z tym, co prawdziwe, razem ze wszystkim, co znaliśmy do tej pory.

Skomplikowane?

Miałem czas na przemyślenie tego, jak i wielu innych rzeczy. Uporządkowałem to, co znałem do czasu zamknięcia w spójne partie wiedzy, kiedy wy żyliście, ciesząc się światem i znajomymi. Stałem się istną fabryką aforyzmów i niesamowitych historii, co jest moją jedyną przewagą nad wami, nieszczęśliwie skazaną na zmarnowanie, bo sam nie wiem, z kim mam się podzielić tą wiedzą.

Z tobą? Przecież ty nie istniejesz.

A nawet gdybyś istniał, to i tak nic nie usłyszysz z wnętrza mojej klatki.

Natalia Janik

Wyróżnienie w kategorii: Poezja

*I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika
Krosno*

Do przyjaciela

Jesteś
trwasz zawsze gdy trzeba
nie zniechęcają cię moje gesty
ani potok żarliwych słów
po prostu jesteś
czuję twą obecność na każdym kroku
stawiasz mnie do pionu
podczas poziomego życia
cały świat odchodzi
a ty przychodzisz
ode mnie spieszysz się powoli
rozumiesz bez słów
jesteś

Lekcja

Jak bardzo można kochać ojczyznę?
Jak wielkie trzeba mieć serce,
By oddać za nią swoje życie?
Te proste pytania dziwnie dzisiaj brzmią
Na lekcji historii.
Ta lekcja dłuży się, znów ktoś kogoś,
Ktoś komuś, ktoś, ktoś...
Nagle wstaje dziewczyna z ostatniej ławki
i mówi, że kocha Krosno – ojczyznę za to,
że tu mieszka, tu mieszkali jej rodzice i dziadkowie.

Prośba

Czasem sama siebie nie poznaję,
Czasem sama siebie nie rozumiem,
Czasem wydaje mi się, że nikogo nie potrzebuję.
Często umieram za drobnym, czułym gestem,
Często potrzebuję dobrego słowa i uśmiechu,
Dlatego Panie daj mi siłę,
bym umiała tak jak Ty mówić i słuchać.

Paulina Nowacka

Wyróżnienie w kategorii: Poezja

*Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 1
Krosno*

Nie pytam

Kim jesteś? Nie pytam.

Chcę tylko, abyś potrafił być sobą.

Pośród znoju, cierpienia zsyłanego przez życie,
nie zatracając się w ciągłym maratonie indywidualnego sensu.

Gdzie się wychowywałeś? Nie pytam.

Chcę, abyś z odwagą przechodził najtrudniejszą z dróg.

Później nią wracał, tylko po to, aby zacząć wszystko od nowa.

Ile masz pieniędzy? Nie pytam.

Chcę, abyś umiał dzielić się swoją radością,
nawet jeśli serce przez moment głuche na rozpaczliwe wołanie.

Z kim przestajesz? Nie pytam.

Chcę, abyś ułożył własny zamek z piasku,
zwracając uwagę na każde ziarenko – nawet najmniejszych rozmiarów.

Jesteś szalony? Nie pytam.

Chcę, abyś nie bacząc na innych, świadomy rzeczywistości
stanął ze mną w blasku księżyca, wykrzykując: „Kocham Cię życie”.

Ile razy kochałeś? Nie pytam.

Chcę, abyś zawsze był gotów przyjąć nową miłość,
poświęcając jej podwójnie wszystko,
na co nie zwracałeś szczególnej uwagi.

Długo pamiętasz? Nie pytam.

Chcę, abyś umiał schować głęboko zawody,
i dał szansę temu, co się zaczęło,
by przez bezmyślność nie straciło siły.

Czy dbasz o atuty? Nie pytam.

Chcę, abyś znał swoją cenę
i pod żadnym pozorem nie pozwolił na jej gwałtowną obniżkę.

Czy mnie kochasz? Nie pytam.

Już nic nie chcę. Wystarczy spojrzenie:
kryształowe, jasne. W nim znajdują każdą odpowiedź
na niemo zadane pytania.

Wyróżnienie w kategorii: Poezja

Katarzyna Stapurewicz

*I Liceum Ogólnokształcące im. Władysława Broniewskiego
Bolesławiec*

Enigmatycznie

Czytam książką bez liter
Piszą po zapelnionej kartce
Mówią nie otwierając ust
Zrywam uschnięte kwiaty
Kolorują tęczę na szaro
Śpiewam piosenkę bez nut

Ktoś nie czyta książki wypełnionej literami
Ktoś nie pisze po czystej kartce papieru
Ktoś mówi dużo i niezrozumiale
Ktoś sadzi kwiaty, które nie urosną
Ktoś na siłę, bez namysłu ubarwia świat
Ktoś z nut nie potrafi stworzyć piosenki

Enigmatycznie
Ale tak zrozumiale dla siebie
Enigmatycznie
Zalamię prostą rzeczywistość

Tęsknię za

Odczuwa się tęsknotę za czymś
Coś musiało się zatem stać
Stało się to nieporównywalnie daleko
Daleko poza granicą świadomości

Świadomość kształtuje wiele myśli
Myśli kontemplują wszystkie chęci
Chce się te tęsknoty ziścić
Ziścić w niedalekiej przyszłości

Przyszłość stoi po prezydentymie
Prezydentym neguje obiektywność prawd
Prawdziwie żyjesz tą żadną inną chwilą
Chwilą szczęśliwej terażniejszości

Tęsknię za
Nie tym co było
Nie tym co będzie
A tym co Trwa

Wyróżnienie w kategorii: Poezja

Mateusz Urban

*Publiczne Liceum ss. Prezentek im. Jana Pawła II
Rzeszów*

kiedyś
trzymałeś nas na rękach i szeptałeś do uszu
pokazywałeś świat własnymi oczami
pamiętam prowadziłeś nas w nocy na skraj zagajnika
mówiłeś kiedyś zobaczycie gwiazdy
tylko musicie patrzeć wysoko coraz wyżej

i słuchaliśmy cię jak się słucha rad taty
i wiatr nas słuchał było tak ciepło łzy nabierały blasku
i szaty miałeś jakby z jedwabiu

kiedyś
tak bardzo byliśmy

Szymon Barabasz

Nagroda ZO SBP w Krośnie

I Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika
Krosno

Bieszczadzka opowieść

Przy okazji moich badań nad historią handlu bieszczadzkiego naktąłem się na liczne listy z przemyskiego biskupstwa do niejakiego Macieja Wolmirskiego. Pisma pochodzą z wieku XVII, toteż nadgryzione były zębem czasu i nie dotyczyły ochrony moralności, bądź nawet dusz mieszkańców Bieszczadu, a raczej zawierały instrukcje dla konwojentów kupieckich karawan na tym niebezpiecznym obszarze. Niestety, korespondencja urywa się około roku 1632 i moje liczne pytania, które narodziły się podczas studiowania niektórych listów, nie doczekały się odpowiedzi. Wrodzona ciekawość oraz tajemniczość zapisków, które znalazłem w Przemyśle, zachęciły mnie do bliższego poznania tajemniczego wysłannika biskupa. Zmuszony byłem więc wyjechać w Bieszczady, by tam w okolicach Wetliny zasięgnąć języka w parafialnych zapiskach.

Na moje szczęście XVII wieczne notatki o dziwo się zachowały, a księgi parafialne okazały się ciekawą lekturą za sprawą wylewnego i utalentowanego kronikarza. Z niespotykaną skrupulatnością nie tylko prowadził księgę pogrzebów i chrztów, ale w wyjątkowy sposób z dzienników parafialnych stworzył swego rodzaju pamiętnik, w którym spisywał okoliczne wydarzenia, oraz zawierał własne przemyślenia. Co jednak najważniejsze, w notatkach często przewijają się niejedno, lecz dwa nazwiska przemyskich wysłanników. Był to nie tylko już przeze mnie wspomniany Maciej Wolmirski, ale także jego kompan, Janko Zawilski. W okolicy mieli opinie opojów i watazków, jednak jak się okazuje nie przybyli na pogranicze na własną rękę. W aktach muzeum bieszczadzkiego udało mi się dokopać do ich rodowodów i notatek o nich traktujących. A zebrało się tego całkiem sporo za sprawą niezwyklej profesji Wolmirskiego i Zawilskiego. Byli oni najemnikami, byłymi lisowczykami i zabijakami znanymi w całej okolicy. Nie było chyba bieszczadzkiej karczmy, czy oberży, gdzie tych dwóch nie rozbiłoby paru łbów, nie rozgoniłoby szablami towarzystwa, czy nie wyrzuciło jakiegoś szaraka przez okno.

Dzięki tymże notatkom rozwiała się część tajemnicy związanej z bieszczadzkimi najmitami. Około listopada 1631 roku dotarli oni do Wetliny, do której posyłały ich biskupie listy. W niewielkiej parafii urząd proboszcza sprawował wówczas ksiądz Jerzy Starczyszko. Zajmował się on swoją trzódką dobrze, jednak zupełnie nie z jego winy była ona ustawicznie dziesiątkowana.

Zaczęło się kwietniową powodzią, następnie przywleczoną przez powódź zarażą, a w końcu napadem zbójckiej bandy. Gdyby nie szybka odsiecz stacjonujących niedaleko oddziałów, to zapewne wieś zostałaby spalona do gołej ziemi, a ludzie wywiezieni do Siedmiogrodu, bądź też zabici. Jedyne dochód osadzie przynosił biegnący nieopodal trakt, na którym wieśniacy sprzedawali podróznym wyroby przydatne w długiej podróży do Krosna i dalej, na północ.

Wybór padł na byłych lisowczyków, ponieważ mieli u biskupa dług do spłacenia. Zadaniem ich była ochrona szlaku, będącego źródłem dochodu dla całej archidiecezji, przez dwa lata. Przybyli więc do Wetliny, w której z powodu braku rąk do pracy nie sposób było urządzić poboru na strażników brojących traktu. Po przybyciu do Wetliny zaprowadzili oni tam swoje chaotyczne rządy, roztawiając lokalną władzę po kątach, a u proboszcza na plebanik urządzając swoją główną siedzibę. Starczyszko został sterroryzowany i musiał wysyłać do biskupa sfingowane listy chwające parę zabijaków, które potem znalazłem w Przemyślu. W prywatnych notatkach kronikarz parafialny rozwdził się jednak nad niegodziwościami i niesprawiedliwością rządów, które bądź co bądź przyniosły całej osadzie spore zyski, ponieważ Wolmirski podstępem lub siłą egzekwował od karawan przywilej drogowy i prawo składu, według których kupcy musieli zatrzymać się we wsi i po obniżonej cenie wystawić swoje towary. Większość węgierskich, polskich i litewskich karawan było zbyt zmęczonych ciężką podróżą, by podejmować polemikę i pozostawali w Wetlinie na noc lub dwie. Generowało to spore zyski w karczmach i zajazdach. Tak dwóch zawadiaków bogaciło się, przysparzając kłopotu kupcom, zmniejszając dochody miast i archidiecezji.

Cały proceder trwałby zapewne dłużej, o ile nie przynosiłby tak dużych strat kupcom, którzy skarżyli się samemu wojewodzie, wypominając drakońskie cła i kuriozalną lokalizację uprzywilejowanej osady rozciągającej się pomiędzy leśną głuszą, a górskim ostępem. Oczywiście wojewoda nic o cłach i przywilejach nie wiedział, więc postanowił zwalczyć oszustwo przy pomocy wszystkich dostępnych środków. Los kupców nie obchodził go zaudto, jednak spadek dochodów w miastach, powodowany małymi dostawami, uderzał też w jego kiesę.

Wolmirski i Zawilski niczego nieświadomi łupili każdą karawanę, korzystając z biskupiego błogosławieństwa. Całą zimę i wiosnę nie przepuszczali żadnej okazji by się wzbogacić, jednak wraz z wiosennym natężeniem ruchu na granicy, wybierali tylko co smaczniejsze kąski. W całej tej sytuacji nie zapomnieli jednak o swoim zadaniu i żadna karawana nie została zaatakowana na chronionym przez nich obszarze. Niezwykle skrupulatnie para najemników wytepiła wszystkie zbójckie bandy w okolicznych lasach.

Wetlina bogaciła się aż do momentu, kiedy ksiądz proboszcz, nie spodziewając się skutków swojego zachowania, wysłał list, w którym opisał cały proceder biskupowi. Lisowczycy dowiedzieli się o tym i nie mogąc zawrócić pisma postanowili skończyć proceder. Niepokorny proboszcz zadyndał na gałęzi, a lisowczycy zebrali swawolną kompanię po okolicy, z którą pewnej nocy zajechali Wetlinę, której dynamiczny rozwój sami sponsorowali. Wieś spalili, mieszkańców rozpędzili na cztery wiatry, a sami zaczęli się, by obrażać gigantyczną karawanę ciągnącą na jeden z krośnieńskich jarmarków.

Na spaleniu Wetliny kończy się rozdział pisany przez mojego kronikarza, który zapewne nie przeżył zemsty Wolmirskiego i jego druha, bo dalej notatki parafialne traktują tylko o ślubach, chrzcinach i pogrzebach. Oczywiście rozwój wypadków jeszcze bardziej rozbudził moją ciekawość, bo na dwa dni przed spaleniem Wetliny z Krakowa w Bieszczady wyruszyła grupa wojewodzińskich żołnierzy, których zadaniem było ukrócenie procederu prowadzonego na szkodę skarbu.

Po długich i żmudnych przeszukiwaniach okolicznych zapisów z tego okresu znalazłem tytko jedną krótką notatkę sędziego ziemskiego spod Sannoka, w której pojawia się określenie „bitwa pod Wetliną”. Data tejże bitwy wypadła na tydzień przed krośnieńskim jarmarkiem. Zapewne porzuciłbym moje poszukiwania dalszych danych na temat niezwyklej dwójki rozrabiaków, gdyby nie zupełnie przypadkowa wizyta w bibliotece historycznej uniwersytetu w Preszowie na Słowacji. Tam poza odpisem kroniki wetlińskiej znalazłem kilka zbiorów notatek, listów czy diariuszy z okolicznych dworów i klasztorów. Jeden ze szlachciców w swoim diariuszu opisywał wydarzenia z maja 1632 roku. Grupa wolmirczyków, czyli jakichś trzydziestu byłych żołnierzy, czekało ukrytych w lesie gdy Zawilski i dwóch wojaków zatrzymało cały konwój. Razem piętnaście wozów wina, przypraw, tkanin i soli! Cała grupa ubezpieczana była przez dziesięciu kozaków o „smolonych, sumiastych wąsiskach, wygolonych łbach i pooranych bliznami obliczach”. Kiedy przewodnik karawany poprosił o okazanie książęcych pieczęci, lisowczyk rozwalił mu głowę szablą. Momentalnie z lasu wypadli pozostali zbójcy i na polanie wywiązała się walka z kozakami i węgierskimi kupcami. Byli żołnierze bili się tego i pomimo niewielkiej liczby walczących, doświadczenie obu stron spowodowało przedłużenie się bitwy. Tracąc siedmiu ludzi, podwładni Wolmirskiego po niemal godzinnym boju w końcu zdobyli wozy i rozgonili pozostałych przy życiu Kozaków. Wszystkie bogactwa wpadły w ręce bandy, która zaczęła dzielić łupy. Wolmirski i Zawilski postanowili uciekać z wozem pełnym kosztowności, wina i tkanin, na południe, do Siedmiogrodu. Po udanym napadzie grupa rozdzieliła się i jej przywódcy odeszli, natomiast pozostała kompania udała się w kierunku Krakowa. Nie trudno się domyślić, że zostali wysieczeni przez żołnierzy woje-

wody, którzy w ten sposób wpadli na trop prawdziwych zbójów – pary najemników, o których było już głośno w całym powiecie.

Pech chciał, że jako punkt ukrycia skarbów wybrali Czerwony Klasztor w okolicach Preszowa, tam trafili na gagatków równych sobie. Na co dzień spokojni zakonnicy nocami przywdziewali kirysy, przytracali szable i samopały, był łupić, palić i rabować w blasku księżyca. W praktyce niczym nie różnili się od byłych lisowczyków. Kiedy więc klasztorny patrol wypatrzył samotny wóz, rozpętała się walka. Pierwszych czterech braciszków Wolmirski rozgonił osobiście, potem jedno koło od wozu odpadło i uciekinierzy musieli się bronić na ziemi. W następnym ataku we dwóch odparli kolejnych pięciu „zakonników”. Broniliby się tak do rana, gdyby nie muszkiety, które dotarły do braci po kolejnej nieudanej próbie odbicia wozu. Po kilku wystrzałach i szaleńczej walce na szable, w której padł kolejny braciszek, Wolmirski i Zawilski leżeli martwi.

Świtało już, kiedy bracia naprawili wóz i zagrzebali ciała lisowczyków. Z łupami wracali do klasztoru, kiedy drogę zastąpił im zły, zmęczony pościg wojsk wojewodzińskich. Jakże zdziwił się biskup, gdy pokazano mu zakonserwowane w miodzie głowy, rzekomo należące do Zawilskiego i Wolmirskiego, a tak naprawdę należące do mnichów z Czerwonego Klasztoru. Całą sprawę postanowił więc przemilczeć i dlatego nagle urywa się korespondencja Przemyśla z Bieszczadami. Wojewoda dopiął jednak swego, ponieważ handel bieszczadzki powrócił do normy, a jego kiesa znów była pełna.

Bartłomiej Potocki

Nagroda SMZK w Krośnie

*Zespół Szkół Publicznych
Gimnazjum im. Stanisława Wyspiańskiego
Rymanów*

Nobile verbum
(opowieść kawalerzysty)

Dżdżysty wiosenny dzień. Do karczmy leżącej na trakcie węgiersko-halickim zmierza konno młody człowiek. Staje przy tawernie, oddaje rumaka służbie, a sam bieży do drzwi. Ten niespełna trzydziestoletni mężczyzna odziany w mundur podobny do dragońskiego ma rumianą, strapioną twarz. To jednak złudzenie. W bystrych oczach tli się nadzieja na powodzenie misji. Dumną postawę potwierdza połyskujący pierścień i szabla.

Szlachcic wchodzi do środka, gdzie dym i migotliwe światła pochodni uniemożliwiają dojrzenie czegokolwiek. W końcu wzrok się przyzwyczaja. Przybysz kieruje się do stołu stojącego w kącie sali, przy którym siedzi nieumyty i nieogolony mężczyzna raczący się najlepszym, jaki można dostać w tej części kraju, węgrzynem i udźcem z dzika.

– Pułkowniku Siński! – woła szlachcic. Brak reakcji.

– Rozkazuję panu dopełnić ślubów! – podniesionym tonem kontynuuje przybysz.

Pułkownik odwraca głowę, patrzy tamtemu w oczy. Po sali roznosi się jego cichy, szyderczy śmiech:

– Komu i za co mam śluby dopełniać?

– Królowi!

– Króla nie ma, uciekł na Śląsk – mówi spokojnie, posługuje się rzeczowymi argumentami. Widać, że to dobry polityk.

– Wrócił – przerywa posłaniec.

– Ale jak pies! – krzyczy Siński sprowokowany przez rozmówcę.

– Panie, pojedź ze mną – młodzieniec zmienia ton na błagalny.

– Przejeżdżałeś przez wieś?

– Tak. – Pytanie zaskakuje dragona.

– Widziałeś więc chłopów na pańskich polach, bo ja tak. Przynależę, że gdy król pańszczyznę zniesie, ja oddam swe życie w obronie Rzeczypospolitej. Jan Kazimierz ze swojej części się nie wywiązał.

– We Lwowie obiecał Matce Boskiej, że poprawi byt chłopów.

– Lwów blisko, Bóg jeszcze bliżej, zniesienie pańszczyzny daleko – skomentował Siński.

- Mało w panu wiary w króla, on jeszcze może mieć coś do powiedzenia w tym kraju.
- Nie sprzeciwił się, kiedy naszą chorągiew sejm rozwiązywał.
- Zebraliśmy się na powrót, dlatego proszę pana o pomoc.
- Pułkownika prosisz, a gdzie armia, gdzie hetmani, no gdzie? Zdezerterowali!
- Siński tak mocno uderzył pięścią w stół, że przewrócił puchar z winem.
- Panie, Rakoczy wkroczył do kraju, Krosno spalone, jego przednia armia pod Sanok podchodzi.
- Krosno spalili, powiadasz? – oficer zakrył twarz rękami. Przybysz wiedział, że trafił w czuły punkt, stamtąd pochodził jego przełożony. Siński miał niemal pewność, że jego stary ojciec stanął do obrony miasta, a przegranych Siedmiogrodzianie nie wypuszczali.
- Weź dwa konie z rzędami i czekaj przed tawerną.
- Tak jest! – krzyknął zadowolony z siebie szlachcic.
- Po godzinie drzwi otwarły się z hukiem, wyszedł z nich ogolony i odświeżony mężczyzna przyodziany w mundur, z zawiniątkiem, które rzucił na ławę stojącą przed karczmą. Otworzył pakunek.
- Pałasz – rzekł, wyjmując broń sieczną. – Bibicz, przytrocz do siodła.
- Już się robi, panie pułkowniku!
- Pistolety. Też do siodła.
- Następnie wyjmuje garłacz. Broń palna krótka, mało celna, lecz nie-jeden, kto ośmielił się ją zlekceważyć, już nie żyje.
- Też przytroczyć do siodła? – adiutant wrywa oficera z rozmyślań.
- Nie, będę trzymał go przy sobie.
- Na końcu wyciągnął Siński z pakunku karabelę. Przypiął ją do pasa, po czym odwrócił się w stronę Bibicza, który już od jakiegoś czasu chciał coś mu dać.
- Buzdygan oficerski – wyciąga w stronę swego zwierzchnika oznakę dowództwa nad chorągwią.
- Miło go znów widzieć. Gdzie oddział? – pyta służbowym tonem Siński.
- Mieli jechać zebrać ochotników z okolic spalonego Krosna.
- Kto dowodzi?
- Jakiś dureń, który ledwo odróżnia szablę od muszkietu.
- Świetnie! Nie będzie przeszkadzał. Bibicz, na koń!
- Aby dojechać do miasta, jeźdźcy musieli pokonać Przełęcz Jasielsko-Dukielską, lecz drogę zagroziły im idące tamtędy wojska siedmiogrodzkie. Musieli jechać objazdem przechodzącym niedaleko czoła kolumny nieprzyjaciela.

Na przejściu spotkali jednak oddział pięciuset jeźdźców. Podróźni podjechali bliżej, pułkownik zsiadł z konia. To samo zrobił gruby, niski i czerwony na twarzy dowódca lisowczyków. Z szeregów dało się usłyszeć okrzyki radości z przybycia prawowitego zwierzchnika chorągwi.

– Pułkownik Siński – przedstawia się przybysz. – Przed wami oddziały Rakoczege, musicie zejść im z drogi.

– Ale my idziemy pod jego rozkazy – szyderczo śmieje się rumiany jak burak dowódca.

Wojsko, które o niczym nie wiedziało, nie zdążyło krzyknąć: „Zdrada!” bo ich stary wódz leżał z rozciętą czaszką na ziemi, a Siński ocierał właśnie karabelę ze krwi.

– Przejmuję dowodzenie – rzekł pułkownik.

– Panie! – krzyk Bibicza rozniósł się echem. – Rakoczy zaraz tu będzie, nie zdążymy umknąć!

Dowódca zaklął, wiedział że nie pozostawiono mu wyboru – tylko jedna możliwość wchodziła w grę.

– Panowie! Równać szyk, szable w dłoń, chorągiew na czoło oddziału.

Kolumny wojsk nieprzyjaciela zatrzymały się, strzelcy przygotowywali muszkiety, pikinierzy ustawiali lance.

– Lisowczycy! – woła pułkownik. – Obrońcy kraju! Za Boga! Za Rzeczpospolitą! Za honor!

Kawalerzyści rzucili się w kierunku Siedmiogrodzian. Słychać tylko tętent końskich kopyt, potem rozkaz węgierskiego oficera, salwa muszkietów i ...cisza.

Tak zginął pułkownik Siński, który szlacheckiego słowa dotrzymał.

Modlitwy krośnian do Matki Bożej Murkowej zostały wysłuchane. Rakoczege z Polski przegonił hetman Czarniecki. Ten sam, pod którym dzisiaj my pójdziemy do boju.

– Skąd mamy wiedzieć, że to prawda? – rzucił ktoś z oddziału.

– Bo mówię wam to ja, dziś pułkownik, a przed dwoma laty adiutant pułkownika Sińskiego, jedyny, który przeżył salwę wroga zasłonięty ciałem dowódcy. Wierny jestem jego ostatnim słowom: „Przypilnuj króla, ażeby i on swej części dopełnił”. I ja wam mówię, abyście pilnowali władcy, ale wszystkie swe obowiązki wykonywali.

– Pułkowniku, już czas.

– Husarze! Obrońcy kraju! Za Boga! Za Rzeczpospolitą! Za honor! I... za ciebie, pułkowniku Siński!

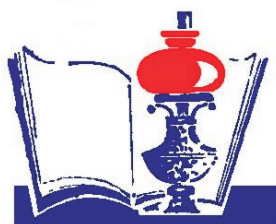
Spis treści

Wstęp. Wojciech Bonowicz	3	
Judyta Pyrak	Bardzo dziwny list motywacyjny	7
Sylwia Marszałek	Dobro wiecznie wygrywa, ale zło zawsze wraca	9
Hana Matejek-Khoury	Maris Altum	13
Klaudia Białogłowicz	Wspomnienie	16
Klaudia Białogłowicz	Okulary	16
Konrad Kustroń	Żal za grzechy	17
Jakub Ziółkowski	***	18
Jakub Ziółkowski	***	19
Daria Bełch	Second-hand	20
Daria Bełch	„Teatrum mundi”	21
Michalina Broda	Pogranicze	22
Natalia Janik	Zasuszony kwiatek	27
Adrianna Matyniak	„Na końcu mnie jest świat...”	31
Kamil Piotr Piastowicz	Klatka	33
Natalia Janik	Do przyjaciela	36
Marzena Liput	Lekcja	37
Marzena Liput	Prośba	37
Paulina Nowacka	Nie pytam	38
Katarzyna Stapurewicz	Enigmatycznie	39
Katarzyna Stapurewicz	Tęsknię za	40
Mateusz Urban	***	41
Szymon Barabasz	Bieszczadzka opowieść	42
Bartłomiej Potocki	Nobile verbum	46

Wydawca:

Krośnieńska Biblioteka Publiczna

ul. Wojska Polskiego 41
38-400 Krosno
tel.: 432 13 70, 432 13 56, 432 52 35
fax: 436 88 82
<http://www.kbp.krosno.pl>
e-mail: biblioteka@kbp.krosno.pl



**Krośnieńska
Biblioteka
Publiczna**